

ANTONI BUGAJSKI



Był sobie piłkarz... cz. III

**Kłose • Płaszewski • Janik • Szefer • Romke • Urban • Lubański • Gierejkiewicz • Klemenz
Tumiński • Rudnow • Kowenicki • Podolski • Zgutczyński • Sokołowski • Kot • Motyka
Cisek • Kasalik • Skrobowski • Cyroń • Poręba • Walusiak • Bolesta • Mazur • Wilim
Lewandowski • Justek • Kasprzyk • Kujawa • Jańczyk • Kulwicki • Krzyk • Wolski
Małnowicz • Cebrat • Jasina • Rother • Bendkowski • Piechniczek**

**NIEZWYKŁE HISTORIE
ZAWODNIKÓW NIE TYLKO Z PIERWSZYCH STRON GAZET**



Był sobie piłkarz... cz. III

ANTONI BUGAJSKI

Był sobie piłkarz...

cz. III

**NIEZWYKŁE HISTORIE
ZAWODNIKÓW NIE TYLKO Z PIERWSZYCH STRON GAZET**

**BIBLIOTEKA
ZOBACZ
SPORTOWY**

[Kup książkę](#)

Copyright @ Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

Projekt okładki: Cezary Piotrowski

Projekt typograficzny: Przemysław Piotrowski/przemekpiotrowski.pl

DTP: INSATSU Michał Żeleznikowicz

Redakcja: Roman Brzozowski

Korekta: Marcelina Samek

Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Na okładce został wykorzystany motyw graficzny z „Przeglądu Sportowego” z lat 60.

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8250-320-3

Warszawa 2023

Spis treści

Od autora	7
1. Józef Klose. Mój strzał stulecia	9
2. Zbigniew Płaszewski. Szept bohatera	19
3. Paweł Janik. Bytom murem podzielony	25
4. Stefan Szefer. Nasz człowiek w Ameryce.	31
5. Piotr Romke. Kluczowy mecz poza boiskiem	40
6. Jan Urban. Wszędzie był gwiazdą	47
7. Jan Lubański. Lubański jakiego nie znacie.	53
8. Jarosław Gierejkiewicz. Sombrero na przeprosiny	63
9. Joachim Klemenz. Prorok przed Bayernem	70
10. Waldemar Tumiński. Pić też trzeba umieć	76
11. Jan Rudnow. Nie pękał przy wielkoludach	88
12. Ryszard Kowenicki. W gipsie do Widzewa	94
13. Waldemar Podolski. Marzenie ojca zrealizował syn	100
14. Andrzej Zgutczyński. Mentalny przesyt futbolu	106
15. Kazimierz Sokołowski. Człowiek Henninga Berga	112
16. Antoni Kot. Ukryty w piwnicy.	119
17. Marek Motyka. Piłka uratowała mi życie.	125
18. Wiesław Cisek. W rozliczeniu za Dziekana	131
19. Jerzy Kasalik. Czary na Karaibach	138

20. Piotr Skrobowski. Pęknięty mundial.	144
21. Ryszard Cyroń. Ty jesteś chłopak z Zabrza.	151
22. Władysław Poręba. Nie bał się nawet czarnej ospy.	157
23. Ryszard Walusiak. Blizna aż do dzisiaj.	163
24. Henryk Bolesta. Przemycony do Holandii.	169
25. Włodzimierz Mazur. Akcja życia.	176
26. Jan Wilim. Zgoda anulowana.	182
27. Grzegorz Lewandowski. Lopetegui złapał i ogolił.	189
28. Mirosław Justek. Szwagier za szwagra.	198
29. Roman Kasprzyk. Talent na medal.	204
30. Romuald Kujawa. Ślady po piłce.	210
31. Wiesław Jańczyk. Zadziwianie to jego specjalność.	216
32. Lech Kulwicki. Spowiedź na łóżku.	223
33. Adolf Krzyk. Ostatni Krzyk przed wojną.	229
34. Leszek Wolski. Zięć swojego idola.	235
35. Tadeusz Małnowicz. Napastnik do oglądania.	241
36. Eugeniusz Cebirat. Umowa na dziesięć meczów.	247
37. Tomasz Jasina. Gra telewizyjna.	253
38. Gerard Rother. Uciszył Camp Nou.	260
39. Witold Bendkowski. Odwrócony od Maradony.	266
40. Antoni Piechniczek. Wielki trener ukryty w dobrym piłkarzu.	272
Bibliografia.	283

Od autora

Z intrygującymi opowieściami wracają polscy piłkarze „nie tylko z pierwszych stron gazet”. Stosując konwencję serialową, ale przecież również sportową, można powiedzieć, że to już trzeci sezon. Pomysł narodził się w „Przeglądzie Sportowym” w 2018 roku i wciąż żyje na łamach naszej gazety, lecz doskonale rozwija się też w cyklu książkowym.

Zmieniają się bohaterowie, lecz niezmiennie w swoich relacjach przywołują dawne światy, w których co rusz się spotykają – jako koledzy albo rywale. Każdy niewątpliwie dołożył coś od siebie do polskiego futbolu, choć rzadko mowa o kamieniach węgielnych, znacznie częściej o małych, może nawet niezauważalnych gołym okiem cegiełkach. Znowu mamy czterdzieści rozdziałów i czterdzieści piłkarskich życiorysów – od lat przedwojennych aż do czasów całkiem nam bliskich.

Lubański, Podolski, Klose... Który kibic nie zna tych piłkarskich nazwisk? Są wśród bohaterów tej książki. A jednak nie chodzi o Włodzimierza, tylko o Jana Lubańskiego, zapomnianego piłkarza Łódzkiego Klubu Sportowego, który dźwiga ciężar dramatycznych przeżyć; nie chodzi też o Lukasa, a o jego ojca – Waldemara Podolskiego. Z kolei bohater pierwszego rozdziału Józef Klose jest tatą Mirosława. Ojcowie mistrzów świata opowiadają

o swoich piłkarskich karierach, o trudnym i pełnym przygód życiu w Polsce, kiedy jeszcze nawet im się nie śniło, że synowie zostaną gwiazdami futbolu.

Oczywiście nie znaczy to, że ich historie są najważniejsze. W tym zbiorze obowiązuje idealna równość i demokracja – każdy rozdział waży tyle samo, jeśli nawet objętości czasem się różnią, bo w każdym jest historia człowieka, któremu życie zorganizowała piłka. Stawała się szansą, przeznaczeniem, a czasem może nawet przekleństwem. Bohaterowie otwierają przed nami swój mikrokosmos, próbują uzasadnić decyzje sprzed lat, wytłumaczyć się z błędów, pochwalić sukcesami. Liczą się subiektywne relacje, przedstawienie rzeczywistości właśnie z ich punktu widzenia (było to niemożliwe tylko w trzech przypadkach, kiedy bohaterami rozdziałów są nieżyjący już dzisiaj piłkarze, ale wtedy głos oddawałem ludziom, którzy ich dobrze znali).

W galerii nietuzinkowych postaci spotkacie także piłkarza, który najpierw zagrał w reprezentacji Polski, a potem w kadrze Stanów Zjednoczonych. Należy do licznej grupy bohaterów, którzy osiedlili się za granicą i rzadko pojawiają się w mediach, niektórzy wcale. Jeden już nigdy nie odwiedził Polski i raczej się nie wybiera. Tłumaczy, że na długą podróż nie ma zdrowia, a poza tym wydaje mu się, że nikt na niego nie czeka. Są też tacy, którzy mieszkają w Polsce, lecz bardzo daleko im do roli liderów opinii, nie pchają się do mikrofonów. Medialna nieobecność powoduje, że ich relacje stają się świeże, niebanalne i tym bardziej warte poznania albo przypomnienia.

Jak najbardziej dotyczy to również zamykającego tę książkę Antoniego Piechniczka. Wszyscy go znamy jako wielkiego trenera, tym razem jest to jednak sylwetka byłego piłkarza – mistrza Polski i reprezentanta kraju, który o piłkarskiej drodze opowiada nie tylko barwnie, ale też pouczająco. To wspólny mianownik wszystkich czterdziestu historii.

1

JÓZEF KLOSE

Mój strzał stulecia

– W piłkę nie gra się sto lat, choć czasami może ci się tak wydawać. Gdy byłem piłkarzem, nigdy nie myślałem, co będzie potem. Dlatego z żoną zawsze dbaliśmy, aby taką świadomość miał nasz syn. W życiu oprócz talentu i pracowitości ważne są spokój i cierpliwość. Dzięki nim można osiągnąć wielkie rzeczy – mówi Józef Klose.

Ojciec mistrza świata i króla strzelców mundialu sam był kiedyś niezłym piłkarzem: najpierw w Odrze Opole, a potem w AJ Auxerre.

Miroslav Klose został legendą niemieckiego futbolu, ale urodził się w Opolu i jest synem polskiego piłkarza, który przez wiele lat był ważnym zawodnikiem Odry występującej nawet w europejskich pucharach. Jeszcze za czasów PRL rodzina państwa Klose najpierw wyjechała do Francji, a potem już na stałe do Republiki Federalnej Niemiec, gdzie zaczęła nowe życie, zupełnie od podstaw. Teraz Józef Klose opowiada swoją historię.

MUSISZ ZDOBYĆ ZAWÓD

– Chodziłem do zawodówki w Blachowni Śląskiej, a po lekcjach kopano się piłkę, dzień w dzień. Bez tej piłki nie szło wytrzymywać. Człowiek grał i zapominał o bożym świecie – przyznaje.

Od czego jednak są rodzice. Oni pilnowali priorytetów. – Stanowczo mi powtarzali: „Synek, fajnie, że grasz w piłkę, jeśli aż tak lubisz. Ale pamiętaj: najpierw musisz zdobyć zawód”. Uczyłem się więc na tokarza. Roboty w tym fachu wtedy było w bród, bo przemysł się rozwijał, na dodatek dawał całkiem porządny zarobek. Na koniec miałem egzamin. Trzeba było obliczyć i ustawić wszystkie parametry, a potem wytoczyć śrubę z gwintem albo inny przedmiot. Wszystko zaliczyłem. Jako absolwent zawodówki musiałem odpracować minimum osiem miesięcy. Szykowała się robota tokarska, ale trochę zmieniłem plany – uściśla. I wcale nie chodziło jeszcze o plany piłkarskie.

PIERWSZA WYPŁATA

Fabryka w Blachowni szukała trasera, czyli robotnika kreślącego na prefabrykatach wyrobów linie, wzdłuż których ma być prowadzona dalsza obróbka, na przykład cięcie albo wiercenie otworów na nity. – Zgłosiłem się, bo ciekawiło mnie to bardziej niż sama obróbka skrawaniem. Już w czasie szkolnych praktyk podpatrywałem człowieka, który się tym zajmował. Nazywał się Józek Suchanek. Chciałem robić to samo co on. Na przykład koła zębate, z wszystkimi szablonami i wyliczeniami. Jaki obwód musi mieć? Ile zębów? Dopiero później szło to na obrabiarkę – opowiada ze znawstwem. – Zgłosiłem się do Józka Suchanka, zacząłem z nim pracować. Uczył mnie, co i jak. A że byłem sprytny, szybko to popapowałem. Sprawnie mi szło. Trasowałem przedmioty w coraz krótszym czasie. Józek nalegał, żebyśmy szli na śniadanie, ale nie chciałem tracić czasu. „Odlóż to, bo zrobiliśmy już 200 procent normy i jak będziemy tak zasuwać, następnym razem na takie koło

zębate dadzą nam godzinę zamiast dwóch”. Tak mądrze poradził mi doświadczony pracownik – przyznaje Klose.

Duża wydajność miała przełożenie na wynagrodzenie, bo robiło się na akord. – Na pierwszą wypłatę dostałem cztery i pół tysiąca złotych, a to w latach 60. była bardzo porządna pensja. Przyszłem dumny z siebie do domu, wyłożyłem banknoty na stół. Mama aż pobladła: „Synek, komuś ty to ukradł?!”. Minęła dobra chwila, aż dotarło do niej, że ja, osiemnastolatek po zawodówce, zarabiam takie pieniądze w zakładzie w Blachowni Śląskiej.

Emocjonalną reakcję matki Józefa Klose można zrozumieć jeszcze lepiej, jeśli dodamy, że w 1960 roku średnia krajowa według Głównego Urzędu Statystycznego wynosiła 1560 zł, w 1969 roku – 2174 zł...

PRZYJECHALI, POCZEKALI

To był jednak epizod, bo młody Józek inaczej zapatrywał się na swoją przyszłość. Skończył zawodówkę, zdobył konkretny fach, pokazał rodzicom, że dzięki niemu może solidnie zarobić. Spełnił więc wbijane mu do głowy warunki i wreszcie mógł zająć się swoją pasją, czyli futbolem.

Grać zaczynał w Energetyku w rodzinnych Sławięcicach. Jeszcze w zawodówce przez rok był piłkarzem Chemika Kędzierzyn, ale nie czuł się tam najlepiej i wrócił do macierzystego klubu. Przełomem było powołanie od trenera Juliusza Mariańskiego do juniorskiej reprezentacji województwa opolskiego. W 1965 roku zespół z Opolszczyzny zdobył w Kaliszu prestiżowy Puchar Michalowicza, a wśród bohaterów turnieju znalazł się także Józef Klose.

W opolskim środowisku nie był już anonimowym piłkarzem. Zainteresowała się nim Odra Opole, przodujący klub w regionie. Jej szkoleniowcem został Tadeusz Foryś – ten sam, który był trenerem kadry narodowej podczas pamiętnego zwycięskiego meczu z ZSRR (2:1) w 1957 roku.

Aby załatwić wszystko jak należy, do Józka wybrał się Jan Śliwak, działacz Odry bez reszty oddany wyszukiwaniu piłkarzy odpowiednich dla tego klubu. – Wysłannicy Odry pojawili się u mnie w domu w poniedziałek i usilnie namawiali, żebym przyjechał do Opola. Obiecałem, że będę w środę. Środa minęła, a mnie nie ma. W czwartek też nie. W piątek Śliwak przyjechał po mnie po raz drugi z nową strategią: razem z drugim działaczem poczekali, aż się spakuję i zabrali do Opola. Zakwaterowali mnie w hotelu, następnego dnia kazali przyjść na trening. W ten sposób zostałem piłkarzem Odry – opowiada. To był sezon, w którym Odra spadła z ekstraklasy (wtedy skromniej nazywanej I ligą), a potem Kłose jeszcze dwukrotnie spotkała taka przykrość, lecz zawsze udało się wrócić do elity z jego znaczącym wkładem.

BURZA W OBRONIE

– W Odrze szybko się zaaklimatyzowałem. Miałem się od kogo uczyć, bo była grupa doświadczonych zawodników: Konrad Kornek, Henryk Szczepański, Henryk Brejza, no i Engelbert Jarek, największa gwiazda drużyny i idol kibiców. Strzelał dużo goli, ale miał też bardzo dokładne podanie na 25–30 metrów. Wystarczyło tylko dużo biegać i piłka adresowana od niego spadała pod nos. Tyle że trzeba było ją umiejętnie przyjąć i kontrolować – uściśla na wszelki wypadek. – Engelbert dużo nie mówił, ale za to dosadnie. Podpowiadał młodemu, ale w konkretnej sprawie zabierał głos tylko raz. Jeżeli młody był rozkojarzony i nie rozumiał, to już był jego problem. Engelberta Jarka należało słuchać zawsze i z całkowitą uwagą – tłumaczy.

Pomnikową postacią był też „Burza” Szczepański, 45-krotny reprezentant kraju, olimpijczyk z Rzymu. Grał na bocznej obronie. Miał już swoje słuszne piłkarskie lata, gdy w Odrze pojawił się występujący na skrzydle Kłose. – Boczni obrońcy włączali się do akcji ofensywnych, więc „Burza” też, lecz w takich sytuacjach nie miał już sił szybko wracać. Kiedyś nie ruszyłem do asekuracji w obronie.

Krzyknął, aż bębni mi w uszach zadrżały i oczywiście w mig pognąłem tam, gdzie mi pokazał. Za drugim razem nie musiał już pokazywać. Wystarczyło, że na mnie popatrzył. Dopiero gdy wrócił do obrony, mówił: „No, teraz zasuwaj do przodu” – relacjonuje Klose.

Sam z bieganiem nigdy nie miał problemów. To był jego wielki atut. Był w zasadzie nie do zajechania. Czasem ścigający się z nim rywal ślaniał się na nogach, łapały go skurcze, a skrzydłowy Odry szykował się na kolejny rajd.

– Na koniec zawsze liczy się jednak dyspozycja dnia, a kryzysowy mecz dopada każdego i to w futbolu się nie zmienia. A jak jesteś w dołku, okazuje się, że rywala nie możesz nawet kopnąć w nogę, bo i na to jest dla ciebie za szybko i za sprawny – wyklada piłkarską filozofię nasz bohater.

GÓRSKI WOLAŁ LATĘ

Okrzepł. Kibice go lubili, bo był z Odrą na dobre i na złe. W lidze też wyrobił sobie markę. Twierdzi nawet, że miał go na oku Kazimierz Górski montujący ekipę, która potem przywiozła medal z mistrzostw świata w 1974 roku. Najwyraźniej selekcjoner uznał jednak, że inni są jeszcze lepsi.

– A konkretnie, że lepszy ode mnie jest też grający na skrzydle Grzegorz Lato. I nie mam argumentów, żeby z tym wyborem dyskutować. Mówimy o piłkarzu, który został królem strzelców mistrzostw świata – zaznacza Józef Klose.

W kadrze więc nigdy nie zagrał, a tym bardziej nie został królem strzelców mundialu, w przeciwieństwie do syna, który – cóż za zbieg okoliczności – snajperską koronę wywalczył wtedy, gdy turniej po 32 latach znowu odbywał się w Niemczech.

ZAMKNAŁEM OCZY I KOPNAŁEM

W 1977 roku z Odrą Opole pan Józef zagrał za to w Pucharze UEFA jako zdobywca Pucharu Ligi. Drużyna młodego trenera

Antoniego Piechniczka w pierwszej rundzie odpadła z FC Magdeburg. Najpierw w Opolu przegrała 1:2. – Prowadziliśmy 1:0, kiedy trener zdjął mnie z boiska. Zbliżając się do ławki, powiedziałem sobie pod nosem, oczywiście tak, żeby trener nie usłyszał: „Ta zmiana to był pana największy błąd”. No i proszę: dwa gole strzelił Jürgen Sparwasser i przegraliśmy – kwituje. Zaznacza jednak, że ta uwaga była rzucona z przymrużeniem oka. Do głowy mu nie przyszło, że zadziała jak klątwa.

W każdym razie do Magdeburga Polacy jechali już z marnymi szansami. – Przyjechaliliśmy autobusem dzień wcześniej, dostaliśmy trochę wolnego czasu. Mówię do chłopaków: „Przegraliśmy u siebie, z tego już pewnie nic nie będzie. Chodźcie tu niedaleko na dworzec kolejowy, wypijemy po piwie. Tyle naszego z tej wyprawy”. Poszliśmy całą drużyną. Posiedzieliśmy, pogadaliśmy, wysączyliśmy po dwa piwka i grzecznie do hotelu – relacjonuje.

Na drugi dzień mecz. Szybko, bo już w 11. minucie Joachim Streich zdobywa bramkę, gospodarze obejmują prowadzenie. A więc wszystko szło zgodnie z przypuszczeniami. Wydawało się, że pytaniem jest tylko: ile jeszcze Niemcy nastrzelają...

– Parę minut przed końcem pierwszej połowy Zbyszek Kwaśniewski wycofał mi piłkę piętą. Do bramki było ponad 20 metrów. Do dzisiaj czuję, jak piłka siadła mi na nodze. Normalnie mój strzał stulecia! Zamknąłem oczy i kopnąłem. Piłka poleciała w krótki róg, nisko. Wpadła! – opowiada. Odra potrzebowała już tylko jednej bramki, by doprowadzić do dogrywki i była świetna okazja. – Idziemy z przewagą: Wojtek Tyc i ja. Kiwnąłem obrońcę i przede mną jest już tylko bramkarz. Patrzę, że Wojtek z prawej strony wchodzi, więc mu wyłożyłem do pustej. Spudłował... Myślałem, że go uduszę...

PÓŁ ROKU SAMOTNOŚCI

Jesienią 1978 roku Józef Klose wyjechał do AJ Auxerre, które lubiło zatrudniać Polaków. Szlak przecierał Marian Szeja, bramkarz reprezentacji Polski i Zagłębia Wałbrzych, drugim był jego

klubowy kolega Zbigniew Szłykowicz. W końcu przyszła kolej na Klose, a potem pojawiali się coraz lepsi, medaliści mistrzostw świata.

– Trener Guy Roux liczył się ze zdaniem Mariana Szei. Poprosił go, by polecił prawoskrzydłowego z Polski. Marian zwrócił się z tym pytaniem do Bernarda Blauta, a on pomyślał o mnie – tłumaczy Klose.

To była ważna zmiana w jego życiu. Nic dziwnego, że pamięta nawet dokładną datę wyjazdu: 12 października 1978 roku. – Trudno zapomnieć, bo transfery we Francji można było zatwierdzać do 13 października. Wszystko odbywało się więc błyskawicznie i cud, że udało się załatwić przy tej całej biurokracji – zaznacza.

W Auxerre przez pierwsze pół roku było ciężko, bo początkowo nie zabrał rodziny. – Święta Bożego Narodzenia spędziłem sam, chociaż zapraszali mnie ludzie z klubu. Nie chciałem nadużywać gościnności. Zostałem w swoich czterech ścianach – wspomina.

FINAŁ W PARYŻU

AJ Auxerre grało wówczas w II lidze, ale po dwóch sezonach zanotowało historyczny awans do Première Division, bo tak formalnie nazywała się wtedy dzisiejsza Ligue 1. Wcześniej jako drugoligowiec w 1979 roku zespół wystąpił na Parc des Princes w Paryżu w finale Pucharu Francji. Z Szeją i Klose w składzie przegrywał po dogrywce (1:4) z FC Nantes, aktualnym wicemistrzem kraju. Polacy zostali bohaterami Auxerre. Wszyscy doceniali ich rolę w drużynie.

Po awansie do elity Klose zagrał jeszcze 14 meczów, ale funkcjonował już na specjalnych zasadach. – W najwyższej klasie trzeba było zawierać zawodowe kontrakty, a ja miałem już 33 lata. W moim przypadku klub nie zdecydował się na taki kontrakt. Trener Roux powiedział jednak, że tyle zrobiłem dla Auxerre, że chciałby, abym został jeszcze rok. Niby bez profesjonalnej umowy, ale on już się postara, żeby mi płacono jak innym piłkarzom. Grałem do października, a potem jedynie w rezerwach, bo sprowadzili ze Stali Mielec Andrzeja Szarmacha. Obowiązywał limit

dwóch obcokrajowców, a że był przecież jeszcze Heniek Wieczorek (17-krotny reprezentant Polski i medalista MŚ z 1974 roku – przyp. red.), więc dla mnie zabrakło miejsca – dodaje.

4 października 1980 roku w 74. minucie ligowego spotkania z FC Nantes zmienił Jeana-Marca Ferreriego. Był to ostatni występ Józefa Klose na Stade l'Abbé-Deschamps. Dziesięć dni później zagrał jeszcze pełne 90 minut w wyjazdowym meczu z Nîmes (0:0) i na tym zakończyła się jego przygoda z pierwszą drużyną Auxerre.

Żadnego spotkania w Première Division już nie zagrał natomiast Szeja, który jednak cieszył się wielkim szacunkiem i został w klubie. Zajął się pracą szkoleniową. Między słupkami zastąpił go Joël Bats, późniejszy reprezentant Francji i mistrz Europy z 1984 roku.

MAŁŻEŃSTWO Z ODRY

Latem 1981 roku Klose przeniósł się do FC Chalonais. – Chciałem wracać do Polski, ale namówili mnie, żebym pomógł w awansie. Grali w czwartej lidze, a chcieli być w trzeciej. No i cel został osiągnięty, a w kolejnym sezonie udało się utrzymać. Miałem 37 lat, nie chciałem grać na siłę. Czułem, że to już kres kariery. Wtedy sprowadziłem się do Opola – wspomina.

Został zatrudniony w Odrze, trenował drugą drużynę. W 1987 roku postanowił jednak wyjechać z rodziną do Niemiec. – Wtedy były takie czasy, że zapaliło się zielone światło dla przywaciarzy. Ja nie nadawałem się do tego. Nie umiałem kombinować. Źle się czułem w tej rzeczywistości. Uznałem, że w Niemczech poradzę sobie lepiej, że zaczniemy tam od nowa normalnie żyć. Znałem w miarę język niemiecki, więc wiedziałem, że na początku będzie mi łatwiej – w taki sposób przedstawia powody decyzji. – Przemyślałem wszystko. Przyszedłem do domu i mówię do żony: „Pakujemy, co się da i jedziemy”.

Jego żona Barbara Jeż (po ślubie przyjęła nazwisko męża) była znaną piłkarką ręczną, 45-krotną reprezentantką kraju. – Basia

z Otmętą Krapkowice dwa razy zdobyła mistrzostwo Polski, ale wcześniej występowała w Odrze Opole. Po treningu chodziłem zobaczyć, jak dziewczyny grają. No i wpadła mi w oko – uśmiecha się, mówiąc o małżeństwie znanych sportowców Odry.

W DOMU ZAWSZE PO POLSKU

W wyjeździe z Polski rodzinie Klose pomógł Andrzej Szarmach. – Poprosiłem go, by załatwił nam zaproszenie. Wersja była więc taka, że jedziemy go odwiedzić we Francji. To był warunek otrzymania zgody na przekroczenie granicy. Docelowo od razu postanowiliśmy zamieszkać w RFN – zaznacza.

Osiedlili się w Kusel, niedaleko Kaiserslautern. – Jeszcze trochę amatorsko grałem w piłkę, ale już koncentrowałem się na pracy, bo trzeba było utrzymać rodzinę. No i miałem ponad 40 lat, więc co to mogło być za granie? – pyta retorycznie.

Natomiast w tym czasie w piłkę zaczynał grać już dziewięcioletni syn Mirek, choć długo wcale nie było pewne, czy wystarczy mu talentu i wytrwałości, żeby pokazać się na większej scenie. Był wystawiony na wielką próbę. Jako imigrant z Polski musiał mozolnie się przebijać, udowadniać swoją wartość. W przyszłości został wielką gwiazdą niemieckiego futbolu – królem strzelców mistrzostw świata, mistrzem świata i 137-krotnym reprezentantem RFN, dla której zdobył 71 bramek. Łatwo zauważyć, że dla Niemców był tym, kim Robert Lewandowski dla Białych-Czerwonych.

– Nic w karierze syna nie było łatwe. Był w nowym kraju. Musiał się w nim zaaklimatyzować, wszystkiego uczyć. Najpierw przez pięć lat dzieci były z nami we Francji (państwo Klose mają też córkę Marzenę, o dwa lata starszą od syna – przyp. red.). Potem wróciliśmy na trzy lata do Opola, ale znów wyjechaliśmy do Niemiec, co dla dzieci oznaczało naukę języka niemieckiego od podstaw. W domu zawsze rozmawialiśmy po polsku. Powtarzałem dzieciom, że nie wolno im zapomnieć tego języka – zaznacza.

PRZYJADĘ I WPROWADZĘ

– Razem z żoną staraliśmy się pomagać Mirkowi nie tylko w piłkarskich planach, dawać wskazówki. Tłumaczyliśmy mu, żeby był pracowity, spokojny i cierpliwy, a co ma przyjść, to przyjdzie. Miał talent, to było widać. Należało go tylko umiejętnie rozwijać. Dzisiaj rodzice często robią podstawowy błąd: mają 11-letniego syna, który przejawia piłkarskie zdolności i już by chcieli, żeby był zawodowcem. Nie potrafią czekać – ocenia Józef Klose. Sam był niezłym piłkarzem, ale pod tym względem syn zdecydowanie prześcignął ojca.

Do Opolą wciąż zagląda, chociaż cała jego rodzina, z wyjątkiem siostry żony, też mieszka za granicą. – Wychodzi na to, że moją rodziną, która została w Opolu, jest Odra – ocenia były piłkarz. Odry w ekstraklasie nie ma już od ponad 40 lat. W 2022 zagrała w barażach, ale nic z tego nie wyszło. – Jeżeli naprawdę będzie planowała awans do Ekstraklasy, przyjadę na cały sezon i ją wprowadzę. Nie będą musieli płacić mi ani złotówki – uśmiecha się pan Józef, który tylko w najwyższej klasie rozgrywkowej w barwach opolskiego klubu zagrał 197 meczów i strzelił 39 goli.

BIOGRAM

Urodzony: 3 października 1947 roku w Sławięcicach

Pozycja na boisku: napastnik

Kluby: Energetyk Sławięcice (do 1965, z epizodem w Unii Kędzierzyn), Odra Opole (1966–78; 197 meczów, 39 goli), AJ Auxerre/FRA (1978–81; 14 meczów, 1 gol), FC Chalonais/FRA (1981–84)*

Zdobywca Pucharu Ligi (1977)

* uwzględnione są mecze i gole tylko w najwyższej klasie rozgrywkowej w danym kraju

2

ZBIGNIEW PŁASZEWSKI

Szept bohatera

– Ciężko jest, czasem bardzo ciężko. Oddycham tylko przepo-
ną; szybko się męczę. Gdy mówię, ledwo mnie słyszać. Jednak tak
całkiem zamilknąć bym nie chciał. Trzeba żyć, ile się da. Nogi też
bołą, ale zacisnę zęby i idę. Nawet na mecz Wisły Kraków z wnu-
kiem czasem się wybiorę – mówi Zbigniew Płaszewski, mistrz Pol-
ski z Białą Gwiazdą i jeden z bohaterów zwycięskiego meczu nad
Holandią (2:0).

Płaszewski od dawna zмага się ze skutkami raka krtani i w tej
walce jest niezlomny. W 2000 roku przeszedł wielogodzinną ope-
rację. Wygrał, ale cena była duża. Aby dobrać się do nowotworu,
chirurdzy musieli usunąć węzły chłonne, uszkodzić struny gło-
sowe. Od tej pory Płaszewski ma duże problemy z oddychaniem
i mówieniem. Po operacji przez kilka tygodni mógł przyjmować
pokarm tylko przez rurkę. Przez lata musiał się przyzwyczaić do
nowego, bardzo trudnego funkcjonowania. Jeżeli w ogóle przy-
zwyczajenie jest możliwe...

Żyje w małym mieszkaniu w Nowej Hucie. Troskliwie opieko-
wała się nim żona Krystyna, ale los zabrał mu również ją. – Zmar-
ła w grudniu 2020 roku. Tyle lat razem, tyle pomocy z jej strony.

Też swoje przy mnie przeżyła... Ciężko to wszystko unieść – szepcze jeszcze cichszym i łamiącym się głosem.

Dostaje skromniutką emeryturę, trudno z niej wyżyć. Dobrzy ludzie starają się mu pomagać. Pamiętają o nim w Małopolskim ZPN, a Wisła Kraków ufundowała mu karnet i jeśli tylko zdrowie pozwala, pojawia się na meczach przy Reymonta. – Nogi już nie niosą. Jest problem z biodrami, ale próbuję trzymać jakiś kontakt z dawnymi kolegami. I na pogrzebach staram się być. Czasem trzymam sztandar, bo do tego wyraźna mowa niepotrzebna, za to w taki sposób mogę wyrazić szacunek. Wydaje mi się, że gdy ja będę chodził na pogrzeby, to ludzie przyjdą kiedyś na mój. Co pan sądzi, dobrze myślę?

W NOTESIE SELEKCYJNERÓW

Zanim Płaszewski został jedną z legend krakowskiej Wisły, która w 1978 roku pod wodzą młodego trenera Oresta Lenczyka zdobyła mistrzostwo Polski, a potem dotarła do ćwierćfinału Pucharu Europy, był cenionym piłkarzem Hutnika Kraków. Nowa Huta była jego naturalnym środowiskiem. Na tamtejszych osiedlach, podwórkach, uliczkach uczył się grać w piłkę i żył z fantazją krnąbrnego dzieciaka. Odkąd pamięta, był niesamowicie szybki. Ścigał się z chłopakami o dwie głowy wyższymi, a i tak dotrzymywał im kroku. Widzieli to wuefiści w podstawówce i próbowali popychać w kierunku sportu. Na spartakiadzie młodzieży wygrywał na sprinterskich dystansach. Na boisku też nie dał się nikomu zagonić, choćby nie wiadomo co, bo na dodatek był uparty.

Zapisał się do Hutnika. Jako nastolatek grał w II lidze i robiło się o nim coraz głośniej. Trafił do reprezentacji Polski juniorów. Gdy selekcjonerem pierwszej kadry został Kazimierz Górski, powołał niespełna 20-letniego Płaszewskiego na inauguracyjne zgrupowanie i zupełnie nie przeszkadzało mu, że był ledwie drugoligowcem. W kadrze zresztą mógł zagrać już wcześniej, w ostatnim meczu Ryszarda Koncewicza. Dostał powołanie na spotkanie

z Czechosłowacją, ale... nie pojechał i nieobecności nie usprawiedliwił, za co został przez PZPN zdyskwalifikowany na miesiąc.

UPROWADZONY

W Hutniku grał zdecydowanie za długo, a przecież bardzo konkretne propozycje z ekstraklasy były już wtedy, kiedy docenił go selekcjoner Koncewicz. „Echo Krakowa” z 2 października 1970 roku piórem redaktora Jana Frandoferta (nestor krakowskich dziennikarzy sportowych zmarł w 2020 roku w wieku 92 lat) złowieszczo donosiło: „Przed kilkoma dniami do sympatyków piłkarstwa w Nowej Hucie dotarła wiadomość: »czarną limuzyną« porwano asa atutowego jedenastki hutniczej – Zbigniewa Płaszewskiego”.

Po tym intrygującym wstępie autor objaśniał: „Oczywiście nie uwierzylibyśmy w żadne »porwanie«, bo w końcu nie tak znów łatwo zmusić młodego, wysportowanego młodzieńca, aby wbrew swej woli siadł do obcego samochodu i odjechał w nieznane. Nie trudno natomiast »porwać« sportowca, gdy zdoła się go zachęcić do tego odpowiednio atrakcyjną obietnicą. I tak też było w wypadku Płaszewskiego”.

NIE CHCIAŁ SPRAWIĆ PSIKUSA

W artykule redaktora Frandoferta piłkarz przyznawał, że już od jakiegoś czasu ludzie z Górnika Zabrze nagabywali go, aby zmienił barwy klubowe. „Byli też w Krakowie, lecz dopiero ostatnim razem zastali mnie w domu i zdołali namówić, abym pojechał porozmawiać z odpowiedzialnymi działaczami klubu w Zabrzu. Zgodziłem się wreszcie, ale postawiłem warunek, aby tego samego dnia odwieźli mnie do Krakowa” – mówił na łamach „Echa Krakowa”.

Płaszewski zwierzył się dziennikarzowi, że ofertę odrzucił. Wyjaśnił, że z powodów rodzinnych i dlatego, że już rozpoczął naukę w technikum hutniczym. Wskazał na jeszcze jeden powód: „Nie chciałem sprawić psikusa kolegom z drużyny i klubowi, który mnie

wychował, w chwili, kiedy mamy szanse na awans do ekstraklasy”. Wyznał, że mniej więcej w tym samym czasie pojawili się u niego w domu z kontraktową ofertą także emisariusze Zagłębia Sosnowiec. „Tato pozbył się ich jednak dość szybko” – uspokoił krakowskich kibiców dziewiętnastolatek.

Hutnikowi do elity awansować się nie udało, ale rok później Płaszewski został wybrany na najlepszego piłkarza ziemi krakowskiej. – Chciałbym grać tak jak Franz Beckenbauer – deklarował w wywiadzie na łamach tej samej gazety, podkreślając, że Niemca za boiskową wszechstronność ceni bardziej niż Pelégo lub Eusébio.

NAJPIĘKNIEJSZE WSPOMNIENIE

W 1974 roku Biało-Czerwoni cieszyli się z mundialowego medalu, a Płaszewski nie był już nawet drugoligowcem, bo Hutnik został zdegradowany. Na oku miała go Legia Warszawa. Dwudziestotrzylatek ciągle podlegał obowiązkowi odbycia służby wojskowej, ale krakowska Wisła nie pokpiła sprawy. Uchroniła go przed powołaniem do armii. Przez pewien czas nawet przetrzymywała w ukryciu poza domem, byle tylko wysłannicy Legii nie zdołali go może i siłą przechwycić.

Znowu tracił czas, ale uzbroił się w cierpliwość i wreszcie zagrał w ekstraklasie. W Wiśle zadebiutował w listopadzie 1975 roku w wyjazdowym starciu z GKS Tychy (1:2), wtedy jeszcze w pomocy, bo dopiero później dał się poznać jako czołowy polski boczny obrońca. Znowu zauważył go Kazimierz Górski i pozwolił wystąpić w towarzyskim spotkaniu z Grecją (0:1 w maju 1976 roku), ale na igrzyska olimpijskie do Montrealu nie zabrał. Potem na radarach miał go Jacek Gmoch. Dał mu zagrać 45 minut w meczu towarzyskim ze Szwecją w listopadzie 1977 roku (2:1), ale i on pominął wiślaka przy ustalaniu kadry na mundial w Argentynie.

Najbardziej docenił go kolejny selekcjoner Ryszard Kulesza. Zagrał w jednym z najbardziej spektakularnych występów Biało-Czerwonych w historii. 2 maja 1979 roku Polska na Stadionie

Śląskim w Chorzowie pokonała 2:0 Holandię – wicemistrzów świata dwóch poprzednich mundiali. Stawką były punkty w kwalifikacjach do mistrzostw Europy. Płaszewski biegał na lewej obronie.

– To najpiękniejsze wspomnienie z mojej kariery. Wielki stadion, pełne trybuny, hymn tak odśpiewany, że aż mrowiło po plecach... No i przede wszystkim niesamowite zwycięstwo. Miałem już 28 lat. Kto by pomyślał, że doczekam takiej chwili? – mówi wzruszony.

KĄŻDY MA SVOJE OKĘCIE

Półtora roku później kadra w tamtym kształcie przestała istnieć. Wszystko przez tak zwaną aferę na Okęciu, kiedy trzech piłkarzy łódzkich klubów (Władysław Żmuda, Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki) stanęło murem za Józefem Młynarczykiem, którego selekcjoner nie chciał wpuścić na pokład samolotu, bo był wyraźnie „wczorajszy”. Dla piłkarzy posypały się dyskwalifikacje, a ze stanowiskiem musiał się też pożegnać Kulesza.

Płaszewskiego nie było wtedy w kadrze, ale – cóż za ironia losu – raptem dwa miesiące później na tym samym lotnisku miał swoją, bliźniaczo podobną „afere na Okęciu”. Tak ją opisało „Echo Krakowa”: „Piłkarska drużyna Wisły udała się samolotem do Jugosławii na przedsezonowe zgrupowanie. Ponieważ odlot samolotu opóźnił się o 2 godziny, piłkarze czas dzielący ich od chwili startu spędzili w restauracji na Okęciu. Gdy nadszedł moment odprawy przedodlotowej, obsługa lotniska stwierdziła, iż dwaj zawodnicy: Zbigniew Płaszewski i Kazimierz Gazda z uwagi na stan wskazujący na nadużycie alkoholu, nie mogą zostać wpuszczeni na pokład samolotu. Ekipa krakowska odleciała więc bez tej dwójki”.

ZROBILI POKAZÓWKĘ

Wisła surowo ukarała winowajców. Mocniej oberwał Płaszewski, bo uznano, że ujął się za pijanym kolegą, deklarując, że jeżeli

nie leci Gazda, to on również nie zamierza. W efekcie byłemu reprezentantowi Polski zasądzono ośmiomiesięczny bezwzględny zakaz gry w piłkę. Publiczne napiętnowanie blisko 30-letniego piłkarza miało swoją wagę.

– To był klub milicyjny. Zrobili z tej historii pokazówkę i uznano, że najlepiej uderzyć w Płaszewskiego. Byłem kozłem ofiarnym. Mówilem to już wtedy, a po tylu latach mogę tylko powtórzyć, bo taka jest prawda – opowiada nasz bohater.

Był zniszczony przez kontuzje, no i łatka „aferzysty z Okęcia” też swoje robiła. Pograł jeszcze amatorsko w Austrii, ale przede wszystkim ciężko pracował fizycznie. Chwytał się różnych zajęć, dopóki zdrowie pozwalało. Bo później zaczęła się już tylko heroiczna walka z chorobami.

– Mam nadzieję, że jeszcze są kibice, którzy mnie pamiętają. Coś w tej piłce jednak zrobiłem, trochę pograłem. Czasem, gdy jest mi już bardzo trudno, przynajmniej mam co wspominać...

BIOGRAM

Urodzony: 18 sierpnia 1951 roku w Krakowie

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja: 5 meczów, 0 goli

Kluby: Hutnik Kraków (do 1975), Wisła Kraków (1975–81; 106 meczów, 2 gole)*

Mistrz Polski (1978)

* uwzględnione są mecze i gole tylko w najwyższej klasie rozgrywkowej w danym kraju